

DRODZY PRZYJACIELE MISJI,

kończy się rok 2021, trudny rok dla całego świata. Dla mnie to też był wyjątkowy rok. Choć Madagaskar jest moją drugą ojczyzną i bardzo kocham ten kraj, to w duszy często odzywa się tęsknota za rodzinną ziemią, gdzie zostawiłem wszystko, co było sercu najbliższe i najdroższe. Bardzo chciałem tegoroczny urlop spędzić w Polsce, ale zanosilo się na to, że nie będę mógł wyjechać, bo nie pozwalały na to obostrzenia covidowe. Starałem się długo o pozwolenie i wreszcie się udało. Pod koniec czerwca wylądowałem na Okęciu w Warszawie. Była to dla mnie wielka radość, bo po prawie 3 latach mogłem znowu zobaczyć rodzinę, odwiedzić współbraci i spotkać się z przyjaciółmi misji. I w tym miejscu chcę gorąco podziękować mojej rodzinie, która mnie przyjechała na czas mojego urlopu, parafi Paszyn z której pochodzę, wraz z ks. Proboszczem i wikariuszem, z wszystkimi z którymi się spotykałem, przyjaciółmi, od których doznałem tyle zyczliwości i wsparcia w mojej misji. Ojcu Czesławowi Tomaszewskiemu SJ, który od wielu lat niestrudzenie zabiega o pomoc i wsparcie dla misji i polskich misjonarzy jezuitów. To właśnie dzięki jego staraniom udaje nam się zrealizować wiele ważnych misyjnych projektów – m.in. takich, jak budowa studni, szkół, kościołów a przede wszystkim pomoc biednym i chorym. Dziękuję też moim współbraciom z kolegium krakowskiego i wspólnocie przy parafii Ducha św. w Nowym Sączu, gdzie byłem częstym gościem. Gorąco dziękuję o. Januszowi Śliwie SJ – proboszczowi parafii św. Klemensa we Wrocławiu, jego współbraciom i całej wspólnocie parafialnej. Jestem wdzięczny za niezwykle serdeczne i ciepłe przyjęcie mnie w tej parafii w dniu 15 sierpnia.

Podczas urlopu odwiedziłem także Borzętę – rodzinną miejscowość śp. O. Tadeusza Kasperczyka SJ. Razem ze mną w Borzęcie był także o. Czesław Sadecki SVD i s. Władysława Pieróg – franciszkanka. W tamtejszym kościele odprawiliśmy Mszę św. w intencji śp. O. Tadeusza, a potem spotkaliśmy się z jego najbliższą rodziną. W ten sposób uczciliśmy pamięć o. Tadeusza, a także chcieliśmy umocnić w duchu jego najbliższych.

W Polsce miałem być 2 miesiące. Kiedy urlop zbliżał się ku końcowi, okazało się, że wracać na Madagaskar nie mogę. Po prostu: nie było jak, bo odwołane zostały loty z Paryża do Antananarivo. Z jednej strony cieszyłem się, że troszkę dłużej w Polsce pobędę, a z drugiej martwiłem się o moje „piskłeta” (tak mawiał o. Jan Beyzym o swoich podopiecznych ze szpitala w Maranie). Oni pewnie mnie trochę lubią, bo też się martwili i dostawałem z Marany e-maile z pytaniem o to, kiedy wreszcie wrócę.

Mój urlop trwał w sumie 3 miesiące. Kiedy moje „piskłeta” dowiedziały się, że udało mi się załatwić przelot na trasie Europa – Madagaskar, w Maranie zapanowała wielka radość. Siostry opowiadały mi później, że najbardziej cieszyły się dzieci i mówiły, że mompera przywiezie z za wody dużo dobrych cukierków.

Przyleciałem na Madagaskar 1 października, w święto św. Teresy od Dzieciątka Jezus – patronki misji. Niestety, nie mogłem ruszać natychmiast do Marany, bo prosto z lotniska zawieziono nas do hotelu, gdzie musiałem poddać się pięciodniowej kwarantannie. Maranę mogłem zobaczyć znów dopiero 6 października. Każdego dnia, podczas kwarantanny, siostrzyczki z Marany telefonowały do mnie i dopytywały jak się czuję i kiedy wracam. Według malgaskiego zwyczaju, po długiej nieobecności i w podziękę za szczęśliwy powrót, powinno się dać coś każdemu, jakiś drobny upominek, pamiątkę. Wpadłem więc na taki pomysł, żeby zrobić w Maranie przyjęcie. Przez telefon poprosiłem siostrę przełożoną, żeby kupiła omby (duże cielę) i żeby siostrzyczki przygotowały z niego smaczny posiłek dla wszystkich (ja, oczywiście, po powrocie, ten zakup sfinansowałem). I tak się stało. W dniu, kiedy miałem powrócić do Marany, wczesnym rankiem zaszlachtowano omby i zaczęło się gotowanie, pichcenie.

Kiedy przekroczyłem bramę Marany, wruszyłem się bardzo, bo nie spodziewałem się tak gorącego, serdecznego powitania. Potem, na dziedzińcu, wszyscy zasiedliśmy do stołów. Nasi chorzy byli bardzo zadowoleni, bo takiej obfitości jedzenia dawno nie widzieli. Nasycili się

wszyscy. Potem były śpiewy i tańce. A dzieci – jak to dzieci – czekały jeszcze na cukierki i ciasteczka i oczywiście je dostały.

Podczas mojej nieobecności siostry w Maranie nie próżnowały. Zastąpiłem więc świeżo wymalowany budynek, w którym mieszkam, odnowioną kaplicę, pomalowane dachy domów i wiele innych miłych niespodzianek. Siostry postarały się też o dużą figurę św. Józefa i ustawiły ją na dziedzińcu. Mam w Maranie swojego ulubieńca – małego Franciszka, którego niedawno ochrzciłem. Franio też darzy mnie wielką sympatią. Kiedy zapytałem go co to za figura, kto to jest – Franio odpowiedział: „To jesteś ty, mompera”. No i tym sposobem mam w Maranie swój pomnik!...

1 listopada Marana przeżywała kolejne święto - o wiele większe niż to z powodu mojego powrotu. Na ten dzień wyznaczono uroczystości z okazji 110 rocznicy poświęcenia szpitala dla chorych na trąd. Przyjechało na nie mnóstwo gości. Zaczęliśmy od Mszy św. na placu przy szpitalu. Przewodniczył jej bp Fulgence Rabemahafaly z Fianarantsoa, a w koncelebrze było 30 księży – w tym dwóch Polaków ze zgromadzenia oblatów pracujących na Madagaskarze. Były siostry zakonne i świeccy z Fianarantsoa. Honorowym gościem był pan Dominik Włoch - Polak, który, jako świecki misjonarz, od kilku już lat pracuje na Madagaskarze.

Nasi chorzy byli bardzo szczęśliwi, że tego dnia doczekali. Przygotowywali się do niego nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim duchowo. Przez 9 kolejnych dni, w naszej kaplicy, odmawialiśmy (jak zawsze) różaniec, a po nim nowennę do bł. o. Jana Beyzyna.

Na uroczystość nasi chorzy ubrali się w specjalnie na ten dzień przygotowane koszulki z logo Marany i napisem „110 lat Marany”. Przygotowali też dary ofiarne do Mszy św. Jeden z chorych niósł do ołtarza żywego baranka wybranego z naszego stada. Baranek zdołał się jednak jakoś wyplątać z więzów, jakie mu założyli i rzucił się do ucieczki. Było dużo śmiechu z tego powodu. Złapano go jednak, doniesiono do ołtarza, a potem, po Mszy, dostał go w prezencie ksiądz biskup.

Po Mszy św., która trwała 3 godziny, dalsze uroczystości odbywały się na placu obok domku, w którym mieszkał o. Jan Beyzym. Rozpoczęto je od odsłonięcia muralu na ścianie tego właśnie domku. Mural przedstawia o. Beyzyna w otoczeniu chorych na trąd dzieci. Został wymalowany przez lokalnego artystę i trzeba dodać, że jest naprawdę piękny. Później odsłonięto i poświęcono niewielką kamienną stelę upamiętniającą 110 rocznicę otwarcia szpitala. Obok domu o. Beyzyna zasadzono również dęba. O. Jan marzył o tym, żeby dęby w Maranie rosły. Kiedy otrzymał z Polski żołądź, udało mu się wyhodować kilka sadzonek. Niestety, przyjęła się na malgaskiej ziemi tylko jedna. Posadził ją w Fianarantsoa, gdzie rośnie do dnia dzisiejszego. Jeśli ten jubileuszowy dąb się przyjmie, będzie drugim polsko-malgaskim dębem na tej egzotycznej wyspie.

Uroczystość zakończyła się obiadem, do którego wspólnie zasiedli goście i chorzy z Marany. Jak zwyczaj każe, było dużo ryżu, mięso zebo, wieprzowina i kurczaki. Po posiłku było nieco rozrywki. Swoje tańce, śpiewy i skecze zaprezentowali chorzy z Marany. A na zakończenie był jeszcze tort. Wyglądał okazale, bo był bardzo duży i bardzo pięknie przyozdobiony. Udekorowano go zrobionym z ciasta i pięknie pomalowanym kolorowym lukrem domkiem o. Jana Beyzyna. Najważniejszym momentem było rozkrojenie tortu. Tę czynność, według tradycji, wykonują najważniejsi goście i gospodarze. Tym razem „zaszczyt” ten przypadł biskupowi, siostrze przełożonej i mnie. Tort, jak wszystkie malgaskie „torty”, to był zwykły kiepski biszkopt przełożony margaryną utartą z cukrem i ozdobiony kolorowymi lukrami. Nie skosztowałem, bo swoją porcję oddałem dzieciakom, bo one rzadko mają okazję jadać takie „rarytasy”.

Po tej odrobinie świętowania, życie w Maranie wróciło do normy. Przed nami stare i nowe problemy, które musimy jakoś rozwiązać. Teraz najważniejszym z nich jest woda, a raczej jej brak. Myślimy więc o studni i modlimy się o dobrych ludzi, którzy by pomogli nam ten projekt doprowadzić do końca. W dalszych planach mamy jeszcze budowę sanktuarium bł. o. Jana Beyzyna. Byłoby to pierwsze sanktuarium na świecie noszące jego wezwanie. Byłby to również wyraz wdzięczności za jego wielkie serce, które oddał chorym i odrzuconym przez wszystkich. Na razie to tylko plany.

Drodzy Przyjaciele, zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, więc chciałbym – od siebie i od mieszkańców Marany – życzyć Wam wszystkiego, co najlepsze i najpiękniejsze. Niech Boża Dziecina przyniesie pokój i radość, niech błogosławi Wam na każdy dzień.

Dziękujemy pięknie za Waszą hojność. Za każdy, nawet najdrobniejszy gest, który świadczy o Waszych wielkich, otwartych sercach. Nigdy nie zapominamy o Was w naszych modlitwach.

o. Józef Pawłowski SJ
Madagaskar